

Z ostatnich doniesień wynika, że w wyniku nieudanego zamachu na Dżumblatta 6 osób zginęło, a 37 zostało rannych.

— Cokolwiek by nie powiedzieć o uniczeniu węgla dla Polski, wszystko jest tak oczywiste, iż staje się truizmem. Ale nie zawsze uświadamiamy sobie, że od długich lat, poczynając od czasów międzywojennych, zawsze, gdy Polska potrzebowała twardej waluty na sfinansowanie najważniejszych zakupów zagranicznych, gdy musiała ratować się w trudnych sytuacjach płatniczych w kraju — w sukurs przychodził węgiel. To właśnie eksport węgla w pierwszych latach powojennych w olbrzymim mieście przyczynił się do realizacji trzyletniego planu odbudowy kraju, a później — po dzień dzisiejszy — zajmował zawsze pierwszą pozycję w wywozowej w polskim eksporcie, stanowiąc walutę płatniczą lub towar wymienny w obrocie handlu zagranicznego. Również teraz, gdy gospodarka znalazła się w najgorszej w całym okresie powojennym sytuacji — znów szukamy ratunku w węglu, znów przy jego pomocy zdobywamy środki płatnicze na najbardziej niezbędne wydatki importowe lub na spłatę kredytów.

Zgadza się z tą opinią. Znajduje ona rzetelne potwierdzenie w obrotach „Węglakosa”, któremu w tym roku stuknie 30 lat. Już w okresie międzywojennym 30–40 procent całego wydobycia węgla wysyłano na rynki zagraniczne; dawało nam to w latach największych obrotów trzecią pozycję w Europie (po Wielkiej Brytanii i Niemczech) oraz czwarte miejsce w świecie — wyprzedzali nas Stany Zjednoczone. Najwyższy poziom wyeksportowanego przed wojną węgla przekraczał 14 milionów ton. Po wojnie — już w 1946 roku — Polska wysunęła się na piąte miejsce wśród światowych producentów węgla. Największy przyrost wydobycia notowaliśmy w pięcioleciu 1945–1950, kiedy to produkcja wzrosła z niecałych 25 do 78 milionów ton. W odpowiednich proporcjach zwiększył się eksport — z 5,6 do 26,5 miliona ton. Od 1956 roku, mimo rosnącego krajowego wydobycia węgla kamiennego, jego eksport znalazł się w związku z intensywnym potrzebą krajowych, wynikających z intensywniejszej industrializacji polskiej gospodarki. Ponowny wzrost wywozu polskiego węgla datuje się od 1964, gdy weszły do eksploatacji kopalnie węgla koksującego w Rybnickim Okręgu Węglowym.

przez eksport do krajów kapitalistycznych był jeszcze większy; jego udział wynosił 20–22 procent.

— Nadszedł rok 1980 i wtedy odwróciła się karta w polskim eksporcie węgla...

— Znałem się powściągliwie przyczyn tego załamania w dwóch ostatnich latach, więc nie będę ich analizować. Powiem natomiast o skutkach tego regresu, który spowodował spadek produkcji węgla w 1980 roku do 191,3 miliona ton i z kolei w roku 1981 do 163 milionów, czyli jego wydobycie było aż o 38 milionów ton mniejsze, niż w rekordowym 1979 roku. W stopniu o wiele większym zmalał eksport. Spadł on w 1981 roku blisko trzykrotnie, obniżając się do poziomu 15 milionów ton! W tej sytuacji mogliśmy realizować kontrakty najwyżej w 20–30 procentach.

— Jak właściwie zareagowali na ten olbrzymi spadek węgla nasi długoletni odbiorcy zagraniczni, jakimś są zwiastem kraje skandynawskie. Czy srożyli się i grozili nam karami, wskazały niedostarczenie im węgla oznaczało praktycznie zerwanie z nimi umów handlowych przez stronę Polską.

— Mieli do tego tym większe powody, że miał to być nie tylko okresowy spadek naszego eksportu, ale zapowiedzieliśmy im, że taka sytuacja potrwa dłużej. Otrzymaliśmy bowiem od naszych jednostek nadzórnych oficjalne oświadczenie, że węgiel nie będzie również przez najbliższe lata.

— „I wtedy weszli do akcji konkurenci.

— Na to tylko czekali. Ze swoją ofertą wystąpili: Afryka Południowa, która ma bardzo dużo węgla, Stany Zjednoczone, dysponujące taką mocą produkcyjną, iż mogą z dnia na dzień zmniejszać lub zwiększać produkcję węgla o 100–200 milionów ton, Australia, a także Chiny. Dodatkową, sprzyjającą dla nich okolicznością było to, że za transport morski węgla płać niskie stawki frachtowe, gdyż armatorzy dysponują dużą flotą „bezbrotnych” statków-masowców, wskutek nadmiaru ich tonażu.

— Czy rywal ci weszli na nasze miejsce ze swoim węglem tylko dlatego, że zabrakło tam nas, czy też mieli jeszcze inne atuty?

nia tego roku wydobywa się węgiel przez 6 dni w tygodniu na wysokim, ustalonym poziomie, wynoszącym dziennie około 625 tys. ton. Na koniec roku krajowe wydobycie powinno oscylować około 190 mln ton, a może nawet nieco je przekroczyć. W tej korzystnej sytuacji mogliśmy wyeksportować za 10 miesięcy tego roku ponad 28,3 mln ton, w tym do krajów socjalistycznych około 12,7 mln ton i do krajów kapitalistycznych blisko 15,6 mln ton. W przypadku pomyślnego sfinalizowania poczynionych przez „Węglakosa” transakcji, eksport węgla na koniec roku powinien zamknąć się ilością 29 mln ton.

— Słyszysz się opinie, że jeśli wejdziemy znów z węglem na tradycyjne rynki, to na bardzo niekorzystnych warunkach cenowych. Słowno, że jest to eksport na wszelką cenę.

— To prawda, że kiedy z początkiem tego roku „Węglakosa” zaproponował zwiększenie dostaw polskiego węgla, nasi klienci mieli pełne składy węgla pochodzącego od konkurencji, co musiało osłabić naszą pozycję przetargową. Jeśli jednak przywrócimy wielkość poprzednich dostaw węgla, nie oznacza to wcale, że sprzedajemy go po zaniżonych nieopłacalnych cenach. Nie jest to po prostu zgodne z prawdą.

— Po ile zatem sprzedajemy nasz węgiel?

— W momencie, gdy spadł eksport polskiego węgla (było to raptowne zmniejszenie jego dostaw o 30 mln ton), na rynkach zagranicznych powstała panika, ceny poszły drastycznie w górę. Koszt tony węgla sortowanego doszedł do 100–110 dolarów za tonę, węgla koksującego — 70 dolarów, a już ceny miały być wręcz nieprawdopodobne, podskoczyły wszak do 80 dolarów za tonę, a nawet więcej. Przy tak korzystnych cenach zaczął się wycisnąć naszych konkurentów w dostawach węgla do Europy. Doprowadziło to jednak wkrótce do nasycenia rynku, a jeszcze szybciej — do jego przesycenia. Spowodowały to w znacznym stopniu spekulacyjne zakupy węgla (ok. 7 mln ton) nabywanego tylko po to, aby dobrze na nim zarobić.

— Owa nadmierna podaż węgla musiała chyba jednak spowodować spadek jego cen.



Powinno się odebrać uprawnienia urbanistyczne, który dopuścił do wybudowania tego kosmopolu, przeznaczanego na Dom Malarek.

Szmal i folklor czyli:

Zalipiański bukiet

Szkoda że „Gazeta” nie zamieszcza kolorowych zdjęć, gdyż ci wszyscy czytelnicy, którzy nie słyszeli o wspaniałościach zalipiańskich, byłiby oczarowani sformatowanymi przez Ottona Linka malowidłami. Kwiaty, kolory, kształty. W Zalipiu pomalowane są domy, stajnie, studnie, psie budy, wnętrza kościoła, szkoły. Turyści krajowi i zagraniczni walą tu tłumnie przez cały sezon, zabierają malowanki, a zostawiają złotówki i dewizy. I chyba te złotówki i dewizy są główną przyczyną zalipiańskich kłótni.

O tutejszych niepokojach dowiaduję się już w drodze. Podwożony naszą służbową „wołgą” zalipiak wylewa swe żale. — Malarkom wydaje się — mówi — że one winny rządzić wsiami, iż wszyscy muszą im się kłaniać w pas. Ich malowanie to interes. Patrz tylko na pieniądze i nie innego ich nie obchodzi.

— Ale przecież — wtrącam — Zalipie słynie właśnie z malarek. Dzięki nim o wsi się mówi, przyjeżdżają tu ludzie, wybudowano wspaniały Dom Malarek.

— I stoi pusty — odpiiera zalipiak. — Cała wieś zdecydowała, że w tym domu należałoby zrobić ośrodek zdrowia. Co mi z ich sław, kiedy muszą z dzieckiem jechać 8 kilometrów do lekarza. W mieście to łatwo, bo jest tramwaj, lokalny autobus, a tu na wsi to wielka udręka. Tymczasem one podniosły wrzask, że odbiera im się własność. Stała się przeciw nim cała wieś.

Zatrzymujemy się przed sporym budynkiem. Z zewnątrz przypomina, jak trafnie zauważył Otto Link, betonową piekarnię. Jest to Dom Malarek. Stowarzyszenie Architektów powinno odebrać uprawnienia członkowskie temu, kto dopuścił do wybudowania takiego kosmopolu.

Zakończono go w 1978, budowano przez wiele lat. Inicjatorem i motorem przedsięwzięcia była nieodżałowana malarka FELICJA CURYŁOWA, twórczyni sławy Zalipia. Niestety nie doczekała chwili, kiedy gmach przekazało społeczeństwu.

Mówią mi, że intencją Curyłowej było stworzenie domu ludowego dla Zalipia. Miał to być przybytek kultury, miejsce kształcenia młodzieży, prezentacji twórczości w sztuki, ale też obiekt użytkowości publicznej, w którym miał znaleźć miejsce m. in. punkt lekarski.

Z tym przybytkiem malarek od początku nie szło dobrze. Zgrzyt nastąpił już przy oddawaniu. Zalipianki chciały ulepszyć ten betonowy bunkier jeszcze przed otwarciem. Niestety, kulturalne władze Tarnowa postanowiły na siłę uszczęśliwić tutejszych ludzi. Miały swoją koncepcję. Miejski plastyk opracował wys-

strój i łamano wszelkie próby odejścia od jego poronionych wizji. Kiedy w przeddzień otwarcia malarki odebliły frontową łysą ścianą pięknym bukietem, rozległ się krzyk.

— Malowała ten bukiet — mówi MARIA SIERAKOWA — do jedenastej w nocy. Pragnęliśmy godnie przywitać gości. Miał być na uroczystości minister z Warszawy, wojewoda z Tarnowa. Rano przed otwarciem przyjechali szefowie z tarnowskiego Wydziału Kultury i kazali natychmiast bukiet zmalować. I zmalowali. A miał to być nasz dom, gdzie od wejścia przybyły wiedziabły, że przyjechał do Zalipia.

Malarki się zraziły. Później co prawda wbrew praktycznym zaleceniom wymalowały wewnątrz gmachu kilka bukietów, które dodają nieco ciepła tej ponurej bryle.

*

Obecnie wieś kłóci się o przekazanie Domu Malarek. Wydział Zdrowia w Tarnowie postanowił wykorzystać budynek czasowo na ośrodek zdrowia. Prace adaptacyjne rozpoczęły w lipcu.

Decyzja zapadła już w ubiegłym roku. W listopadzie kazano z dnia na dzień opróżnić salę wystawową z zalipiańskich eksponatów i przygotować pomieszczenia do przebudowy. Później zebranie wiejskie uchwalilo, że ośrodek będzie się mieścić w czterech pomieszczeniach, a trzy pozostałe dla malarek. Malarki opowiadają, że podczas głosowania wyszły z sali. Były w zdecydowanej mniejszości. One nie chciały zubożyć pomieszczeń przeznaczonych na kulturę. Głosowanie przegrały, ale pojechały ze skargą do Warszawy.

Na czele delegacji stała nowa przewodnicząca malarek, ZOFIA OWCA. — Chciałam to załatwić — mówi mi — w Tarnowie. Byłam u dyrektora Wydziału Kultury, Janusza Gostka. Ale nie nie uskórzałam. Ruszyliśmy więc do Warszawy, do dyrektora Departamentu Ministerstwa Kultury, Franciszka Midura. Obiecał pomóc. Z Warszawy wracaliśmy przez Tarnów i podczas wizyty u dyrektora Muzeum, Adama Bartosza odebrał nam telefon. Był burzą już muru naszego domu. Przestraszyli się warszawskiej wizyty i chcieli uprzedzić ministerialną interwencję.

Potem był spokój — ciągnie Zofia Owca. — Dopiero przed dwoma tygodniami, kiedy postraszaliśmy, że znów pojedziemy do Warszawy, przystąpiono chętno do roboty. Zaczęli od kuchni regionalnej, w której stoi pięknie wymalowany piec. Tak się przejęli, że zamurowali drzwi i robotnicy muszą wchodzić teraz przez specjalnie wybitą z zewnątrz dziurę w murze.

— Dlaczego nie chcecie się zgodzić na ośrodek?

— Bo to decyzja bez głowy. Wydział zdrowia twierdzi, że to tylko czasowa lokalizacja, więc po co rujnować budynek i wydawać ogromne pieniądze. A nadto dlatego się nas wyrzuca z naszego domu? My chcemy tu mieć salę wystawową, izbę regionalną i pokój gościnny. W Zalipiu jest nas blisko 40 malarek i z tych żądań nie ustąpimy. Dom miał być i wierzymy rzędzie placówką kulturalną.

Jest w tym coś racji. Spotkałem się bowiem z opiniami, że dawne Zalipie i obecnie to już zupełnie co innego. Niekiedy twierdzą, że wraz z odejściem Curyłowej piękna twórczość ludowa umiera śmiercią naturalną. Na reporterskim szlaku napotykałam TADEUSZA WNEKA, dyrektora tutejszej szkoły. Pracuje w Zalipiu od lat, zalipianką jest jego żona. Pytam o malarski narybek.

Zasłużony pedagog jest zatrzwożony przysięgą tej pięknej kultury regionalnej. Dawniej Zalipie miało ośmioklasową szkołę. Dy-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 5)

Powrót na węglowe rynki lecz nie za wszelką cenę

Dla „GAZETY” mówi dyrektor ekonomiczny PHZ „Węglakoks” w Katowicach STANISŁAW ZAJĄC

wym. Eksport ten podniósł się z poziomu 16–17 milionów do 33 milionów ton w roku 1972.

— Ale nie był to jeszcze eksportowy szczyt.

— Osiągnięty on został w okresie kryzysu naftowego, wzmożło się wtedy zainteresowanie węglem, rynek światowy już z początkiem lat siedemdziesiątych zareagował zwiększonym zapotrzebowaniem. Wówczas to eksport naszego węgla z 35,8 miliona ton w 1963 roku podskoczył do 40 milionów w roku 1974 i na takim mniej więcej poziomie utrzymywał się do 1979 roku. I w tymże właśnie roku osiągnął rekordową wielkość 41,4 miliona ton, przy równoczesnym re-

— Jedynie dlatego, że nas nie było. W gruncie rzeczy nawet wówczas, kiedy Skandynawowie, Włosi, Francuzi, klienci z RFN — najwięksi nasi kontrahenci z krajów zachodnich mieli już zapewnione składy węgla amerykańskim czy australijskim, nie przestali liczyć na nasz powrót, o czym świadczą choćby to, że nie zastanawiali w stosunku do „Węglakosa” kar umownych. W eksporcie węgla na te rynki mamy bowiem długoletnie tradycje — jeszcze od czasów przedwojennych — i zawsze byliśmy solidnym partnerem. Nasi klienci — i to liczy się chyba dla nich najbardziej — dostosowali do polskiego węgla technologię jego użytkowania

— W istocie, tak się stało. Ceny węgla sortowanego zmalały ze 100 do 80 dolarów, koksującego — spadły do 60 dolarów, miało z 60 na 45 dolarów za tonę.

— A ile otrzymuje „Węglakoks”?

— Nie sprzedajemy ani centa taniej, przeciwnie — nawet nieco powyżej tych właśnie cen światowych. Za tonę węgla otrzymujemy średnio 55–60 dolarów. Licząc kurs dolara po 80 złotych, dostajemy za tonę około 5 tys. złotych czyli ponad dwukrotnie więcej niż w kraju.

— Czy nie zadziwia tu mechanizm polegający na tym, że nasi konkurenci weszli na rynek ze swoim węglem, gdy była koniunktura, dobrze na nim zarobili, ale kiedy ceny spadły, zaczynają się wycofywać pozostawiając nam dopiero w takiej sytuacji wolne pole.

— Nie mógłbym zgodzić się z takim rozumowaniem już choćby dlatego, że, jak powiedziałem, obecne ceny węgla trudno uznać za niekorzystne. Uważam poza tym, że sytuacja po obecnym, mniej korzystnym okresie wrócić powinna niedługo do normy i ceny znów ustabilizują się na wyższym poziomie. Teraz jeszcze w całej światowej gospodarce panuje dekonunktura m. in. w przemyśle stalowym i w budownictwie. Musi zatem nadejść ożywienie. Według naszych prognoz, a także przewidywań amerykańskich — jeszcze do połowy przyszłego roku ceny węgla wykazywać będą tendencję spadkową. Natomiast pod koniec 1983 roku, gdy zmaleją obecne zapasy węgla na halach cen powinny iść znów w górę. Wzrastać będzie również zapotrzebowanie na węgiel w krajach trzeciego świata.

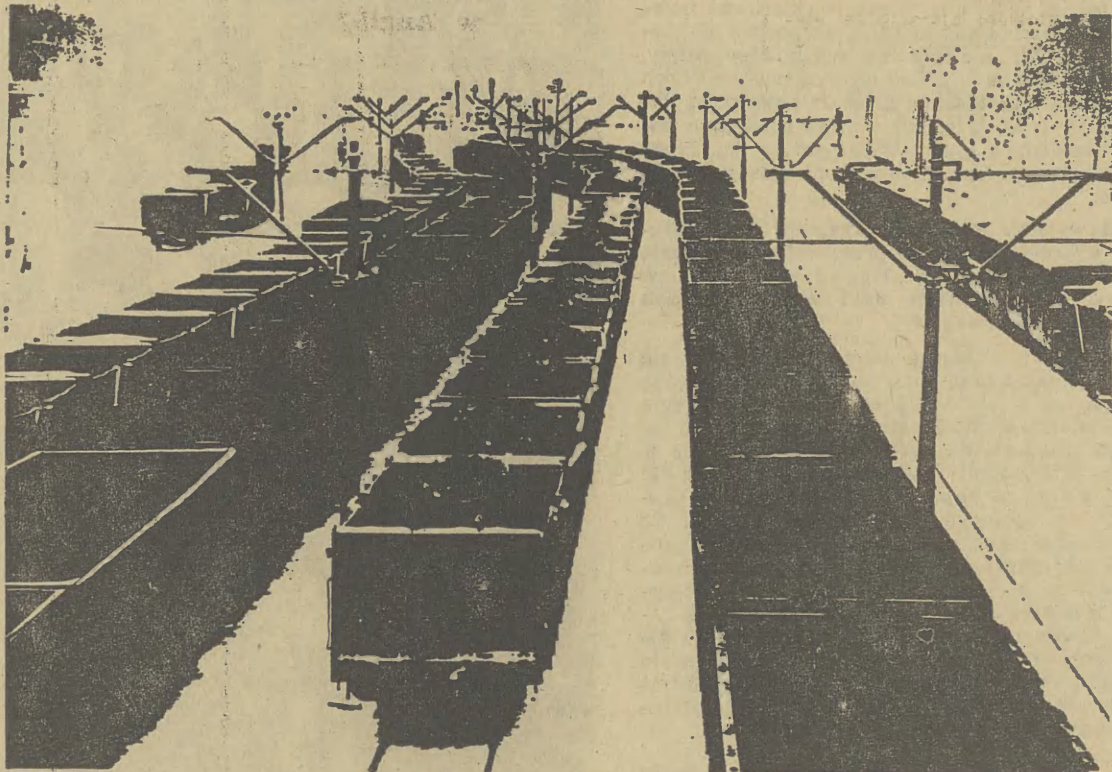
— Jeszcze o cenach. Z materiałów „Węglakoks” wynika iż średnia cena za tonę (w złotych bieżących) eksportowanego przez nas węgla do krajów kapitalistycznych wynosi dokładnie 5217 złotych i 80 groszy, a do krajów socjalistycznych 2616 złotych i 89 groszy. Skąd bierze się ta uderzająca różnica?

— Wynikają one stąd, że ceny węgla do krajów socjalistycznych ustalane są nie na podstawie cen aktualnych, lecz według metodologii tzw. ceny średniej ciągniętej za ostatnie 5 lat. Metodologia ta stosowana jest w rozliczeniach wszystkich krajów RWPG. Obowiązuje ona wszystkich partnerów w obie strony. Jeśli więc kupujemy w Związku Radzieckim ropę, rudę czy inne surowce, nie są one również liczone według obecnych cen rynkowych, lecz w oparciu o tę samą średnią cenę ciągniętą na ostatnie 5 lat.

— Na jakim poziomie powinien ustabilizować się eksport polskiego węgla kamiennego, jeśli mamy pogodzić się z rosnącym zapotrzebowaniem krajowym. Co więcej, ocenia się, iż nasze górnictwo niewiele już będzie mogło wydobywać ponad osiągnięty w 1979 roku rekordowy pułap, to jest ponad 200 mln ton.

— Dlatego właśnie nie możemy liczyć na to, aby w najbliższych latach w eksporcie węgla udało się osiągnąć ponownie rekord sprzed 3 lat — poziom ponad 40 mln ton. Przewidujemy, że

(DOKOŃCZENIE NA STR. 4)



kordowym wydobyciu, wynoszącym 201,4 miliona ton. Choć jeszcze powiedzieć, że w całym okresie powojennym eksport węgla stanowił średnio 20 procent ogólnego wydobycia.

— Mówi się, że węgiel stanowi naszą mocną walutę płatniczą.

— Walutą taką jest przede wszystkim węgiel koksujący i częściowo węgiel energetyczny. Wpływy dewizowe uzyskiwane w minionym dziesięcioleciu przeznaczane były na spłatę pożyczek. Tylko w ostatnich latach za eksport węgla i koksu uzyskiwaliśmy 1 miliard dolarów rocznie. Prawie 10 procent dewiz otrzymywanych z całego eksportu naszego handlu zagranicznego dawał węgiel. Znajdował się on w zagranicznym wywozie polskich towarów zawsze na pierwszym miejscu. W ostatnim dziesięcioleciu stanowił średnio 15 procent całego eksportu,

jak np. odpowiedni rodzaj palenisk w kotłach energetycznych, zaś w przypadku węgla koksującego — odpowiednie mieszanki przy produkcji koksu. No i wreszcie położenie geograficzne Polski. Z naszego kraju jest wszędzie blisko, dzięki czemu polskie statki nieczym tramwaje, mogą z regularnością kursować z węglem do Szwecji, Danii czy Finlandii. Nie mogą równać się z nami pod tym względem dostawcy australijscy czy amerykańscy.

— Czy rzeczywiście można dziś mówić o powrocie na wspomniane rynki polskiego węgla?

— Oczywiście, choć dosłownie nie jest to powrót, gdyż rynków tych (poza japońskim i amerykańskim) nie utraciliśmy, lecz zmniejsziliśmy na nie dostawy węgla. Na początku tego roku mogliśmy powiedzieć naszym klientom, że będziemy stopniowo zwiększać eksport. Od stycz-

Opilstwo, przekupstwo, warcholstwo, łakomstwo, porubstwo — zda się wszystkie plagi spadły na Rzeczpospolitą. Lecz przyczyną były „nie armaty, lecz prywaty” — jak mawiali współcześni. „Wiecej Tatarzy w Polsce nie spłądował, jako nasi żołnierze, którzy gdy nie stanie zapłaty chłopcy drą Niemil-

nowia męza owej biagłogłowy zabić, „by mieć na sumieniu grzech powieszony, a nie śmiertelny”. Oto sławny Krzysztof Stądnicki, by małżonkę na katolicyzm z protestantyzmu nawrócić, „wysłał ją na sernik, kazał go na czterech węgły zapalić, na krzyż palce złożony przysięgł, że ją spali, jeśli nie zo-

stawił całą niemal izbę brzęczącym podarkiem. Gdy przyszło do odczytania owego sfałszykowanego kwitu, a wszyscy wrzasnęli „Zgoda!”, zaprzestował jeden śmielek. Leszczyński mając w ręku wykaz łapówek zapytał rezolutnie: „A któryż to tam brat, com mu nie dał?”

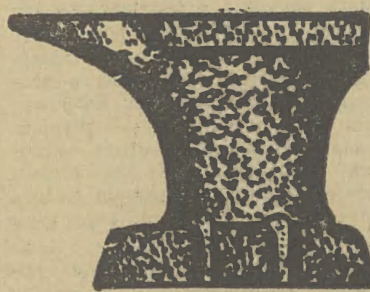
studentów? A no pocztowy Wacław Potocki, który w ostatniej dekadzie tego stulecia we fraszkach z „Ogrodu niewypelnionego” i „Moralach” takie zaowocowanie jakich po dziś dzień nikomu nie udało się powtórzyć. Ież tam mógłby się Sokorski nauczyć? Ie Andrzejewski mógłby jeszcze do „Miazgi” dorzucić?

Egipskie ciemności panowały w naszym kraju już w XVII wieku. Wiktorie pod Chocimiem to były fajerkierki, ostatnie złudzenia, a my Polacy zawsze mieliśmy słabość do szczeru oręża. A najgorzej, że 60 lat poczynających wiek XVIII, dopiero nadchodziło.

No cóż, bardzo prosta byłaby analogia do czasów współczesnych i przykazywanie czytelnikom, by wsparli władzę, jako że silna władza jest gwarancją... No ba, gdyby tak było, pewnie nie byłoby kryzysu. Gdzie zatem tak naprawdę są gwarancje? Jakiego tuczywa użyć, by je dostarczyć?

STEFAN CIEPŁY

Z KOWADŁA



Stefan Cieplý

Był rok 1660. Już po szwedzkim „potopie”. Jeszcze przed zwycięstwami pod Chocimiem, Żurawem i Wiedniem. Jakis zrozpaczony inteligent napisał:

„Nierządem — jak wiesz — dawno Polska stoi. By nie upadła przezeń, niech się boi. Trudno tam o rząd, gdzie wszyscy chcą rządzić, A nikt nie słucha...”

Niestety upadła. Prawie półtora stulecia trwała polska „złota wieka”. Ale to tylko pozycja. Gorzka to prawda i niechętnie dostrzegana. Nim nastąpił drugi i trzeci rozbiór Polski, wcześniej, co najmniej 150 lat wcześniej, ten środek Europy pod kryptonimem tolerancji stanowił centrum egipskiej ciemności, jezuickiego fanatyzmu, tramtadackiej głupoty i wszelkiego upadku moralnego. Rzeczpospolita, zdaniem ówczesnych „politików” była najszcześliwsza, „pół królowie żądnych pism nie znał”. Dowód? — proszę bardzo: Bolesław Chrobry założyciel potężnego państwa „był niepiśmienny”.

siernie” — pisał Opaliński w III księdze „Satyr”. Ten sam Opaliński, który haniebnie szkolował Władysława IV, który z Radziejskowskim podpisał później Szwedom kapitulację pod Ujściem. Obyczajowość owego czasu dobrze oddają też satyry pisane przez twórców Rzeczypospolitej Babińskich, jednej z nieliczonych w tym stuleciu wypraw rozsądka. Oto rejent trybunałski Jan Orzecki opowiada o kawalerze, który mając stosunek z żoną sąsiada swego, posta-

stanie katolicyzka. Ona zobaczywszy, że to nie żart, przechodzi na wiarę katolicką nie z przymusu, ale ze swej dobrej woli”.

Grabież własności państwowej weszła wówczas do obyczaju powszedniego. Oto czytamy o jednym z typowych wtedy urzędników, zajmujących się ściąganiem podatków, Bogusławie Leszczyńskim, noszącym tytuł podskarbiego: „Starając się o kwit sejmowy na poświadczenie rachunków, ujął Bogu-

To wtedy, w tym stuleciu Machiavelli naszej polityki, szuga dwóch dworów francuskiego i polskiego, inteligent pierwszy wody Andrzej Morzynski, by nie odpowiadać za nadużycia finansowe i przekupstwa pachnące zdradą, w cieniu wiktoriańskich pańcuch opuszczał na zawsze stolicę i ojczyznę, by dokonać żywota w hrabstwie Chateaufvillain w Stambanie.

A który z poetów owego stulecia bywa do dziś czytany pod ławkami przez

Egipskie ciemności

